Rok XI. Lipiec, 1936 Nr. 7.



Cena N-ru pojed. 20 gr. Pren. roczna 2 zł.

TREŚC ZESZYTU

Dziesięciolecie Pochodni Serafickiej.

Na drzwiach kościelnych bazyliki OO. Franciszkanów w Krakowie ukazał się w dniu 13 kwietnia 1936 r. artystyczny afisz, przedstawiający pochodnię, w jej płomieniach rok 1926 — 1936 oraz godło franciszkańskie.

Na afiszu tym wypisany był program uroczystej akademji dziesięciolecia „Pochodni Serafickiej" a obejmował; odczyt, deklamacje, recytację, i śpiew.

Akademję urządziły Siostry III Zakonu wraz z chórem Cecyljańskim kleryków Franciszkańkich.

W sali włoskiej, gdzie odbyła się akademja umieszczono duży obraz św. O. Franciszka i przyozdobiono go pięknie kwiatami. — Po nieszporach sala włoska zapełniła się gośćmi. Przybył Naiprzew. O. Prowincjał, O. Gwardjan — Redaktor, O. Magister, Siostry, Bracia i sympatycy „Pochodni".

Po odśpiewaniu „Gaude Mater" był odczyt, w którym przytoczono jak to gdy Dzieci Trzech Zakonów obchodziły 700-letnią rocznicę śmierci św. O. Franciszka z Asyżu powstała myśl wydania dla Tercjarzy pisma, któreby ich uświadamiało, jak mają się w życiu kierować. Wyszła więc w kwietniu 1926 r. po raz pierwszy „Pochodnia Seraficka", a jej redaktorem został Przewielebny O Czesław Kellar. Zrozumiał On, że przeżywamy obecnie nową erę w życiu i potrzeba jest, by III Zakon Franciszkański wszelkiemi sposobami się rozwijał.

Pochodnia Seraficka miała się stać dla Tercjarzy tem, czem były dla nich niegdyś nauki św. O. Franciszka. —

Poszła więc ona jako organ III Zakonu i Stowarzyszenia Franciszkańskiej krucjaty Misyjnej w środowisko ludzkie i spełnia swoje zadanie w zupełności przez pełnych 10 lat, gdyż jest dobrą przewodniczką licznym siostrom i braciom III Zakonu, dzięki mądrej i troskliwej pracy redaktorskiej.

Ona nam pokazuje drogę do doskonałości — a dobór w niej umieszczonych nauk, żywotów Świętych z III Zakonu, gawęd oraz różnych sztuczek teatralnych, z których chętnie zawsze korzystamy i gramy na naszej scenie amatorskiej — jest wskaźnikiem, jaką sobie uzyskała sympatję i miłość u Tercjarzy. Ale nie tylko u Tercjarzy jest mile co miesiąc witana — inni także się nią żywo interesują.

To też Najprzew. O. Prowincjał w Przemówieniu końcowem zwrócił się do Przew. O. Redaktora Czesława Kellara, dziękując Mu za tak ofiarną pracę i życząc by Mu Pan Bóg udzielił zdrowia i błogosławieństwa do dalszej pracy.

Tercjarstwo zaś nadto życzy coraz większego rozwoju Pochodni Serafickiej oraz wyraża Mu największe uznanie i podziękowanie za 10-letnie trudy około wydawania jej — oraz dziękuje wszystkim tym, którzy w jakikolwiek sposób pracują dla Pochodni.

Sekretarka III Zakonu.

POCHODNIA
ORGAN III ZAKONU I STOW.



SERAFICKA
FRANCISZK. KRUCJATY MISYJNEJ

Rok XI. Lipiec 1936 r. Nr. 7.

Przenajdroższa Krew Chrystusowa.

Słyszałem o pewnym wieśniaku, na którego w drodze napadli bandyci i ostrymi nożami poranili głowę, że gdy przywieziono go na poły żywego do domu i córki jego patrząc na lejącą się krew zaczęły lamentować i rzewnie płakać — on, prawie umierający otrzeźwiał nagle i wyrzekł jakby z oburzeniem: „Dzieci moje, uspokujcie się — to nic. P. Jezus cierpiał więcej i obficiej broczyło Krwią Jego całe najświętsze Ciało".

Powiedział tylko prawdę. Chrystus cierpiał więcej i krew swoją wylał za nas do ostatniej kropelki. Uczynił to dobrowolnie i ochoczo z czystej miłości dla ludzi i aby móc tę Krew odkupienia wylać za nas, stał się człowiekiem.

Toteż po wszystkie czasy były i są dusze w społeczności wiernych, które odznaczały się wielką czcią ku Przenajdroższej Krwi i przez jej nieskończone zasługi działały liczne cuda.

Św. Katarzyna z Sieny, osobliwa czcicielka Przenajświętszej Krwi w pismach swoich zostawiła wzruszający opis takiego cudu łaski.

Znany za jej życia zbrodniarz Mikołaj Tuldo został skazany na śmierć — był jednak w złości tak zatwardziały, że o nawróceniu swojem słyszeć nie chciał. Św. Katarzyna nie zraziła się i poszła do niego do więzienia. Tu zaklinając upartego grzesznika na wylaną

Przenajdroższą Krew Zbawiciela, przemieniła jego zaciętość w szczerą skruchę i żal doskonały tak, że się wyspowiadał, przyjął pobożnie Komunję św. i z pokorą zgodził się na karę, którą mu sprawiedliwość ludzka wymierzyła. Jednego tylko obawiał się — czy to dobre usposobienie duszy, jakie mu wyprosiła św. dziewica nie opuści go w godzinie wykonania wyroku śmierci. „Widząc jego bojaźń — pisze św. Katarzyna — powiedziałam do niego: Odwagi, bracie — wkrótce będziesz oglądał gody Barankowe. Idziesz na nie omyty Najdroższą Krwią Syna Bożego, oczyszczony najsłodszem imieniem Jezus". Na te słowa opuściła go zupełnie bojaźń śmierci. Katarzyna modląc się żarliwie udała się z nim na miejsce kaźni. Szedł za nią posłuszny jak dziecko. W ostatniej chwili uśmiechnął się do niej, ukląkł, poprosił o błogosławieństwo i sam położył głowę na pieńku. Św. dziewica obnażyła mu szyję i jeszcze raz wspomniała mu o cudownej mocy Krwi Barankowej. Usłyszała wymówione przez niego ostatnie słowa: „Jezus — Katarzyna" i już w najbliższym momencie trzymała w rękach świętą głowę szczęśliwego grzesznika. Spełniła się na nim dosłownie obietnica św. Pawła: „Miejcie tedy bracia ufność wejścia do przybytku najświętszego przez Krew Chrystusową" (Żyd. 10, 19.).

W żywocie św. Borgjasza czytamy o innym grzeszniku, który niestety nie umiał i nie chciał korzystać z cudownych skutków i zasług Przenajdroższej Krwi Zbawiciela. Przykład to straszny i pełen grozy.

Św. Franciszek Borgjasz dowiedziawszy się o pewnym bliskim śmierci człowieku, który w żaden sposób nie chciał pojednać się z Bogiem — poszedł do niego a ukazując mu krzyż, prosił go przez Rany i Krew Przenajdroższą Zbawiciela, by się nie gubił dobrowolnie i nie odrzucał tego ostatniego środka zbawienia swej duszy. Grzesznik jednak pozostał niewzruszony. Twarde jego

serce nie zmiękło nawet wtedy, gdy cudem miłosierdzia polały się na pościel krople Krwi Najświętszych z otwartych ran Zbawiciela. Lecz jakież przerażenie ogarnęło św. zakonnika, gdy nagle zobaczył, jak prawa ręka P. Jezusa odczepiła się od gwoździa, a napełniając się broczącą Krwią z szeroko otwartej rany Serca, rzuciła ją z wyrokiem potępienia na struchlałą twarz bezbożnika.

Módlmy się często w tym miesiącu poświęconym czci Przenajświętszej Krwi za pośrednictwem naszego św. Patrjarchy, aby nam Krew Chrystusowa nie stała się ku zgubie, lecz ku zbawieniu i abyśmy w godzinę zakończenia naszej ziemskiej pielgrzymki mogli się zaliczyć do tych, którzy „szaty swoje obmyli i wybielili w Krwi Barankowej“ (Obj. 7. 14) a nie dopuść Boże, byśmy pomnożyli szeregi tych, na których spełniło się przekleństwo: „Krew Jego na nas i na syny nasze“ (Mt. 27. 25).

„Najświętsza Krwi Chrystusowa obmyj nas — Najśw. Krwi Chrystusowa, oczyść nas — Najśw. Krwi Chrystusowa, zmiłuj się nad nami i nad duszami w czyścu cierpiącemi”.

GDZIE NASZA WDZIĘCZNOŚĆ?

Gdzie nasza wdzięczność, gdzie nasze uznanie,
Za Twoją miłość bez granic i miary?
Za Twoje w Hostji z nami obcowanie?
Za tylokrotne Bezkrwawe Ofiary,
Które codziennie ku Niebu się wznoszą,
I o ratunek dla ludzkości proszą?

Ulitowałeś się nad grzesznym człekiem,
Najczulszym Zbawcą dla niego się stajesz,
Krwią Swoją karmisz, jak matka swem mlekiem,
I przedsmak nieba na ziemi mu dajesz,
A świat Cię nie zna, świat Tobą pomiata,
Jakbyś był sługą, nie Panem wszechświata!

Ma Ciebie blisko niejeden, niejedna,
Ale nie spieszy w kościelne podwoje,
Nie prosi o nic, choć biedny, choć biedna,
Chociaż otwierasz wszystkim Serce Swoje,
Choć nieraz ciężka nędza ludzi gniecie,
I smutne życie bez Boga na świecie:
Gdzie nasza wdzięczność? gdzie nasze uznanie?
Kto kładzie bielmo na ludzkości oczy,
Że nie poznaje Cię, Zbawco i Panie,
Że potępienia drogą chętnie kroczy?
Niech jej Twa łaska wzrok duszy otworzy,
Zgładź grzechy świata, o Baranku Boży!

Ks. Mateusz Jeż.

Wielebny Bernard z Quintavalle

Pierwszy towarzysz Św. Franciszka Seraf.

Gdy św. O. Franciszek rozpoczął apostolską działalność i ubogą odziany siermięgą, zwykłym sznurem przepasany, bez obuwia ukazywał się na ulicach Assyża, które niedawno przebiegał strojnie ubrany, w gronie rozśpiewanej młodzieży — współziomkowie różne o nim wydawali sądy.

Jedni miotali nań obelgi i z szyderczym uśmiechem zachęcali dzieci do złośliwej zabawy, gdy te kamieniami rzucały na świętego męża; inni ze współczuciem kiwali głowami w przekonaniu, że Franciszek zdrowe zmysły postradał — i narazie tylko niewielka liczba ludzi uważała go za wybrańca Bożego, nadzwyczajnemi obdarzonego łaskami.

Do tych ostatnich należał Bernard z Ouintavalle, jeden z najbogatszych mieszkańców Assyża, pochodzący ze znakomitej i szlachetnej rodziny — a tak powszechnie poważany i czczony dla wielkiego rozumu i niezwykłych cnót, że współobywatete żadnej ważniejszej sprawy nie zaczynali bez jego rady.

Starszy wiekiem od św. O. Franciszka, z podziwem patrzył i rozważał, jak ten syn najbogatszego kupca prawie w wiośnie życia zerwał wszystkie więzy, łączące go ze światem i jego opinją i z miłości ku P. Bogu stał się dobrowolnie żebrakiem.

Pragnąc zapoznać się bliżej z św. O. Franciszkiem, zaprosił go do siebie na wieczerzę i zachwycony jego prostotą i zapałem, z jakim mówił o Ojcu w Niebiesiech i szczęściu dusz, dla których Bóg jest wszystkiem, nalegał usilnie, by św. Patryarcha przez noc u niego pozostał.

Mąż Boży, przeczuwając co się dzieje w duszy Bernarda, przyjął chętnie zaproszenie i po wspólnie odmówionej wieczornej modlitwie, udali się obaj na spoczynek. Św. Franciszek zatopiony w myślach o wiekuistem szczęściu, przeleżał spokojnie część nocy — a gdy już cisza zaległa cały dom i Bernard twardo zasnął, wstał z łóżka, ukląkł na ziemi i wzniósłszy oczy i ręce ku niebu, gorąco się modlił.

Od czasu do czasu bił się w piersi z serdeczną skruchą, jak gdyby był największym grzesznikiem, to znów jakby w zachwyt wprawiony, powtarzał pół głosem z żarem najgorętszej miłości: „Boże mój i wszystko moje!”

Już jutrzenka jaśnieć zaczęła na niebie, gdy Franciszek wrócił cichutko do łóżka.

Bernard, który udawał że śpi, przekonał się naocznie, jakiego świętego męża ma pod swoim dachem i postanowił natychmiast wstąpić w jego ślady.

Za nadejściem dnia zwrócił się pobożny gospodarz do świątobliwego gościa z takiem zapytaniem:

„Gdyby sługa otrzymał od swego pana majętność aby jej używał przez długie lata i przed oznaczonym terminem nie potrzebował jej, co ma z nią uczynić?“— „Oddać swemu panu“ brzmiałą odpowiedź.

Na te słowa Bernard, rzucił się do stóp św. Patryarchy mówiąc z najżywszem przejęciem: „Tym sługą jestem ja — P. Bóg powierzył mi niezmierne bogactwa, przechodzące o wiele moje zasługi, więc dziś przez twoje ręce, o Ojcze Wielebny, oddaję Mu wszystko i całego siebie, przyjmij mię za syna i wykonawcę twej woli!“

— „Bracie kochany odrzekł św. Franciszek, jest to rzecz wielkiej wagi, więc chodźmy przedewszystkiem wysłuchać Mszy św., a Duch święty wskaże nam, co czynić mamy“.

Po Mszy św. przystąpił św. O. Franciszek do ołtarza, przeżegnał księgę św. Ewangelji i trzykrotnie ją otworzył. Słowa, na które najpierw ich oczy padną miały być — według przyjętego wówczas zwyczaju — jakby wyrokiem Bożym.

Za pierwszem otwarciem księgi wyczytali: — „Jeśli chcesz być doskonałym, idź przedaj, co masz i daj ubogim“. (Mat. 19, 21)

Za drugim:

— „I rozkazał im, aby nic na drogę nie brali, jedno tylko laskę: ani taistry, ani chleba, ani pieniędzy w trzosie“. (Mar. 6. 8.).

A za trzecim razem:

— „Jeśli kto chce iść za mną, niech sam siebie zaprze, i weźmie krzyż swój a naśladuje mię“. (Mat. 16. 24).

Uradowany św. O. Franciszek zawołał:

— „Bracie Bernardzie oto reguła i wskazówka dana nam i towarzyszom naszym przez Chrystusa Pana“.

Brat Bernard nie zastanawiał się już ani chwili. Spieniężył wkrótce cały majątek poczem udał się z św. O. Franciszkiem na główny plac w Assyżu przed katedrą św. Jerzego, gdzie już oczekiwała wielka liczba ubogich z miasta i okolicy, i wszystko między nich rozdzielił — a stawszy się najuboższym, przyłączył się do św. Patrjarchy.

Zdumieli się mieszkańcy Assyża... wielka ich liczba z podziwieniem wielbiła bohaterski czyn Bernarda ale byli i tacy, którzy mówili z politowaniem: — „Oszalał, jak syn Bernardona!“

Upokorzenia, niepowodzenia i krzyże, z jakiemi często spotykał się św. O. Franciszek, stały się także udziałem Bernarda z Ouintavalle.

Lecz on, mimo tego, czuł się najszczęśliwszym z ludzi i do każdej wzgardy i poniżenia z radością ręce wyciągał.

Gdy liczba towarzyszy św. Ojca Franciszka zwiększyła się, został brat Bernard wysłany z innymi braćmi najpierw do Florencji, następnie do Bolonji dla głoszenia Ewangelji. W jednem i drugiem mieście przyjęto ich z drwinami, obrzucono błotem i kamieniami. Bernard przetrwał to wszystko cierpliwie. A gdy później opinja ludzka odmieniła się i zaczęto go otaczać czcią i uwielbieniem, napisał do świętego Patryarchy: — „Ojcze! odwołaj mię stąd czemprędzej — dusza moja w niebezpieczeństwie — ja tu nie zdobędę żadnej zasługi!”.

Brat Bernard bardzo miłował św. Ojca Franciszka, to też wielce się ucieszył, gdy ten zabrał go z sobą do Afryki dla nawracania niewiernych.

Zaledwie część drogi przebyli, znaleźli w napół walącej się chacie jakiegoś biedaka złożonego ciężką chorobą. Św. O. Franciszek polecił bratu Bernardowi pozostać przy chorym i pielęgnować go, dopóki po niego nie wróci. Bernard ochotnie spełnił rozkaz i zdala od ukochanego Ojca i zakonnych braci przebył przy chorym długie miesiące, nie szemrząc i nie narzekając. A gdy wreszcie przybył św. O. Franciszek i zabrał go z sobą, brat Bernard nie zdradził się ani jednem słówkiem ile go kosztowała ta rozłąka.

Po śmierci św. Patryarchy br. Bernard, podeszły w latach czuł się wielce osamotniony. Usunął się na

pustynię i tu pocieszany często nawiedzinami aniołów, zjednoczony ściśle z P. Bogiem, myślą i sercem przebywał ciągle w niebie.

Po świątobliwej śmierci, która nastąpiła 10 lipca 1241 r. ukazał się dwom braciom zakonnym — cały był jaśniejący i promienny a szczególniej oczy jego jaśniały jak dwa najpiękniejsze słońca.

Równocześnie, zachwyceni tym widokiem bracia, usłyszeli objaśnienie, że jaśniejąca piękność oczu Bernarda, to nagroda za jego pokorę, którą powodowany, nikogo nie sądził surowo, nikogo nie podejrzywał, do nikogo nie miał uprzedzenia, na błędy bliźnich był bardzo wyrozumiały i wszystkich uważał za lepszych od siebie. — ***Esha.***

Hasło Franciszkowe.

Znamy wszyscy tę scenę z życia naszego świętego Patrjarchy, w której ukrzyżowany P. Jezus przemawia do modlącego się, każąc mu naprawić chylący się ku upadkowi Kościół. Przykład ten świadczy o ścisłem złączeniu się Franciszka z Chrystusem Panem. P. Jezus w dowód, że Mu jest miłym Jego nowy naśladowca, powierza mu trudną i wzniosłą misję ratowania całego ówczesnego społeczeństwa.

To zbliżenie się Franciszka do naszego Zbawiciela najświętszego jest jego charakterystyczną cechą. Św. Franciszek dlatego właśnie zerwał ze światem, że przystąpił do Chrystusa Pana i pociągnięty przezeń nie stawiał ze swej strony żadnej przeszkody w dziele swego przekształcenia duchowego.

Po nawróceniu swem Franciszek tylko tego pragnął, aby wyłącznie ze swoim Panem i Bogiem obcował, z Jezusem Chrystusem. A i później, skoro założył aż trzy zakony, niczego innego dla swych synów i córek nie pragnął, jak tego, by i ich zjednoczyć z jedynym Mistrzem i Wzorem świętości chrześcijańskiej i zakonnej, Jezusem Chrystusem. I dlatego

to tak silnie podkreślał, iż życie „braci mniejszych", „sióstr ubogich" i tercjarzy winno być prowadzone ściśle wedle Ewangelji czyli według nauk samego P. Jezusa.

Święty nasz O. Franciszek znał doskonale Ewangelję i jej Boskiego Bohatera i wiedział, że kto chce być doskonałym, musi absolutnie pójść za Jezusem, musi posłuchać tego łagodnego wezwania, z jakiem Mistrz za życia Swego ziemskiego zwracał się do poszczególnych jednostek: „Pójdź za Mną"! I zastosowawszy się do tego Boskiego wezwania jaknajwierniej, żądał tego samego od wszystkich swoich naśladowców.

Można powiedzieć, że cały jego wpływ, jaki na nich wywierał, ograniczał się do tego jednego, aby skierować ich do najśw. Zbawiciela. Czyż nie jest to zresztą jasne? Bo przecież pocóż Zbawiciel nasz przyszedł na ten świat, jeśli nie poto, aby zbawiać? Rozumiał to jasno św. Franciszek i przykładem swego życia heroicznego i słowami skierowywał swych uczni do Niego, wiedząc, że kto raz dostanie się w ręce tego Boskiego Zbawcy, nie wyjdzie z nich, jeno zbawiony tj. oczyszczony z grzechów i ozdobiony cnotami.

Oto wiemy, już, czego chciał św. Franciszek od swoich naśladowców. Chciał od nich jedynie, aby porzuciwszy zasady światowe obrali sobie za ideał i cel Jezusa Chrystusa i w Nim znaleźli swe szczęście już tu na ziemi.

I dlatego nie możemy o tem zapominać my, tercjarze, naśladowcy Franciszkowi. Musimy sobie uprzytomnić tę najistotniejszą cechę naszego Zakonodawcy, zjednoczenie jego z Chrystusem P., aby następnie powtórzyć w sobie ten sam proces duchowy, jaki on przechodził.

Nie zdajemy sobie należycie sprawy, jak ważną dla nas rzeczą jest zbliżenie się do Chrystusa P. i Jego zasad. Jeśli nam zależy za tem, aby stać się prawdziwymi chrześcijanami, to musimy przedewszystkiem rozpatrzeć swój dotychczasowy stosunek do osoby Chrystusowej i na przyszłość zająć także stanowisko wobec Niego, jakie widzimy w św. Franciszku.

Skoro zaś przekonamy się o konieczności tego współżycia z Jezusem, to nasze życie jako tercjarzy czyli katolików świadomie dążących do jedynie właściwego celu w tem życiu, do Boga, stanie się prawdziwie płodne w owoce i ponad wyraz szczęśliwe. Widzimy to wyraźnie na przykładzie św. Franciszka. Ze zbliżenia się jego do Zbawiciela naszego i zjednoczenia miłosnego z Nim wypłynęła cała jego heroiczna świętość seraficzna, która tak podziwia świat cały, nawet niekatolicki. A wszystko to dlatego, że jego wyłączną dewizą życiową był: Jezus, którego nazywał Bogiem swoim i wszystkiem.

Z tercjarzami ma się stać to samo, co z św. Franciszkiem. Franciszek pierwszy w zepsutej dobie ubiegłych czasów rzucił hasło całemu społeczeństwu: „Do Chrystusa". Napowrót do Chrystu"! Więc nam, którzy się szczycimy z pokrewieństwa — że tak powiem duchowego — z tym wielkim heroldem Jezusowym, nie wolno być na nie głuchym; owszem, nam trzeba to hasło do siebie zastosować i co więcej, drugim je podawać!

Czasy obecne cechuje ignorancja właśnie tej najczcigodniejszej Postaci ludzkiej, którą najlepiej powinniśmy znać i cenić. Nie znamy, ignorujemy Jezusa Chrystusa! Ignorujemy, bo o Nim nie myślimy, nie mówimy, bo nie występujemy z Nim publicznie... A czyż Jezus nie jest najdoskonalszą Osobą, jaką kiedykolwiek ludzkość wydała, i czyż wobec tego nie zasługuje On, aby się Nim więcej interesować, lepiej Go poznać, bardziej ukochać? Bo któż to jest Jezus? Jezus to nasz najmiłościwszy Zbawca, to ten, który wybawił nas od piekła; to ten, który w przyszłości obdarzy nas nieskończonem i niepojętem szczęściem!

A zatem nie możemy zostawić P. Jezusa na uboczu. Idąc za Franciszkiem tercjarz winien żywo interesować się Boskim Mistrzem, Jego nauką i zasadami, tak, aby głównie żył dla Niego i mógł zgodnie z prawdą powiedzieć, że hasłem jego naczelnem jest hasło Franciszkowe: „Jezus mój i wszystko"!

Adam Benel.

Trzy drogi doskonałości.

Droga oczyszczająca.

Dusza weszła do szkoły umartwienia i poznania siebie. Przyszła tu, aby zbadać swoją wolę, by poznać jej błędy i wyprowadzić ją ze stanu nieokrzesania — następnie, by dać jej piękne wykształcenie.

Rozpoczyna się lekcja.

Nauczycielem jest Rozmyślanie.

Dusza słucha.

Posłuchajmy i my.

I.

Wszechwładną poniekąd jest ludzka wola, może wszystko, co chce. Z jej wolnością sam Stwórca się liczy i chodzi koło niej z największą delikatnością. Tylko niestety, jej mość królewska — wola jest ułomną, bo niedowidzi biedna. Trzeba ją prowadzić, objaśniać drogi, po których stąpa, wskazywać dobra, jakich pożąda. Pomyślał o tem Pan Bóg. Za przewodników wyznaczył jej rozum i sumienie. Wola obowiązaną jest ich słuchać. To wcale nie ubliża jej wysokiej godności, bo mimo tego koniecznego posłuszeństwa i poddania się pod sąd rozumu i sumienia, wszelka ostateczna decyzja zawsze od niej zależeć będzie. Ona jedna władać będzie królestwem ducha i ona sama przyczyni się do jego rozwoju lub upadku. Jej tronu nikt nie obali, nawet piekło całe, obalonego nikt nie podniesie, tylko ona wsparta łaską Bożą. I łaska, choć tak potężna, bo wszechmocą jest Bożą, bez udziału woli pozostanie bezsilną, gdyż Stwórca nie narusza nigdy wolności, jaką człowieka obdarował. Dlatego to Ś. Augustyn zawołał: „Stworzył nas Pan Bóg bez nas, lecz nie zbawi nas ani nie uświęci bez naszej współpracy“.

Bez obawy więc o swoją władzę, wola powinna poddać się pod posłuszeństwo. Gdy tego nie uczyni, straci koronę, berło, tron, a następnie runie w przepaść.

Wola tymczasem nie bardzo kwapi się do posłuszeństwa. Jest rogatą, upartą, lubi się sprzeciwiać. Nie chce uznać swej ślepoty i słabości, lecz odurzona blaskiem swego majestatu, idzie dumna przez życie ku różnym przepaściom, a biada temu, ktoby chciał ją zawrócić z drogi. Rozum i sumienie opromienieni łaską Bożą i wiarą, idą za nią na jej ciemne ścieżki i razporaz ostrzegają: „zatrzymaj się, stój — oto przepaść, grzech!" Wola słyszy dobrze, ale nie słucha. Z drugiej strony, nie wiedząc o tem, staje się niewolnicą namiętności, ślepych, jak i ona i na mętnych falach pozwala się nieść coraz dalej i dalej — często aż do oceanu zbrodni. Każdy bowiem grzech dobrowolny, to niezgłębione morze złości ludzkiej, a przecież nikt inny tylko wola na niego zezwala. Gdyby chciała być posłuszną na ten nieomylny, a potężny głos rozumu i sumienia, nie zeszłaby nigdy do bezdennych przepaści grzechu i zepsucia.

Taką oto jest wola bez wyrobienia, bez posłuszeństwą względem władzy od Boga jej danej. Taką też i będzie i nigdy się nie zmieni, chyba na gorsze, skoro nikt nie zatroszczy się o jej wyrobienie, gdy nikt nie nauczy ją: chcieć i nie chcieć.

Zadrżała dusza na ten widok i zamyśliła się głęboko.

— Skąd mi to szczęście, że zawróciłam z drogi ku przepaściom, że zamiast w dół, usiłuję kierować swe kroki wzwyż? Czemu inni, lepsi ode mnie błąkają się nadal po bezdrożach, a ja tak nędzna, zła i niewdzięczna znalazłam się na świetlanej ścieżynie?

— Łaska Boża, o duszo, towarzysząca ci zawsze i wszędzie była tak potężną, tak słodką i cierpliwą, tak niekiedy groźną i piorunującą, że pod jej tajemniczem tchnieniem rozejrzałaś się wokół siebie i zobaczyłaś, że przepaść masz pod nogami. Przy pomocy tej samej łaski zawróciłaś z niebezpiecznej drogi i skierowałaś

swój hyży lot ku błękitnym szczytom. Na skrzydłach więc wdzięczności i miłości szybuj wyżej i wyżej i nie spadaj już nigdy na brudne niziny.

— Nigdy! nigdy! Przyrzekam Ci Panie! Tyś moją mocą, Ty wytrwaniem, dopomóż!!

II.

Wola nietylko jest uparta, skłonna do sprzeciwów na każdym kroku, ale cechuje ją także lenistwo, opieszałość, ociąganie się, zgubna powolność.

— Jak się to lenistwo objawia i kiedy?

— Posłuchaj!

Zdarza się, a nawet często, że niejedna dusza pod zbawczym wpływem łaski zawraca ze złej drogi i zamiast w otchłań grzechu, postanawia iść w krainę cnoty i świętości. Zamiar ten doprowadzi napewne do skutku, jeżeli mieć będzie dobrą, chętną i silną wolę. Dla takiej woli niema nic niepodobnego. Nic a nic!

Ale niestety! Ileż dusz poszczycić się może tak bohaterską wolą już na samym wstępie swej podróży wzwyż? Ile?? Czy ja? Czy może ty?

Cisza!... Nikt się nie zjawia z twierdzącą odpowiedzią. Milczą jak zaklęte wszystkie, nawet święte dusze. Milczą!...

Żaden to dziw. Taką wolę i wielkoduchy zdobywały przez okrutne mozoły, przez tysiączne walki z sobą, z swojemi namiętnościami. Żaden to dziw!

Słuchaj i patrz! Tłumy dusz przed tobą. Jedne krócej inne dłużej, jeszcze inne przez lata i życie całe powiadają, że chcą, że okrutnie świętości pragną, a na każde niemal wezwanie łaski z miejsca się nie ruszają. I cóż to jest? Czy głupota? Czy drwiny? Toć i człowiek obraża się ciężko, gdy mówię mu, że idę, a na miejscu stoję. Cóż dopiero Pan Bóg? A Duch Święty, od którego płyną te dobre natchnienia, cóż na to? Ach, długo ma On cierpliwość nad nami. Długo stoi i kołace i cze-

ka, kiedy wreszcie wola się ruszy i pójdzie za Nim tam, dokąd ją porywa. A kiedyż, kiedyż to się stanie? Czy nie wyczerpie się wkońcu ta niepojęta cierpliwość Boża?

Ach, to lenistwo woli! Ta jej powolność, ociąganie się! Chce ona, raczej pragnie, ale ponieważ to kosztuje trochę wysiłku, więc — powiedzmy to głośno — nie chce jej się. Powiada sobie duszyczka o takiej mdłej woli: jutro, później, ale nie dziś, teraz jeszcze nie! Ty łasko Boża, Ty Duchu Przenajświętszy, co raczysz stać u wrót mego serca i kołatać bez przestanku, poczekajże jeszcze trochę, bo żal mi dziś jeszcze tego grzechu, tej przyjemności — jutro, po jutrze wszystkiego się wyrzeknę i pójdę za Tobą wszędzie — dziś jeszcze nie mogę!

To „jutro“ mija jedno, drugie, dziesiąte i setne, a dusza o tak leniwej woli leży na barłogu swych przyjemności i wstawać nie myśli. Źle jej wprawdzie, borykа się z sobą przeokrutnie, bo wołania Boże nie ustają, męczą ją, palą, a sumienie gryzie, ale mimo to, nie rusza się, leży. Przytem marzy jeszcze o przyszłości, jakto ona pójdzie wysoko, wysoko, aż na szczyty Pańskiej góry, ale cóż, kiedy leży, nie wstaje...

Dusza słucha, uśmiecha się z politowaniem nad gromadą takich bohaterek, co to idą niby na szczyty, a wciąż na miejscu stoją. Ale czy i ona różni się cokolwiek od nich? Czy ma prawo uśmiechać się i mówić może: „Nie jestem, jako ci?“

Posmutniała — nie wie co odpowiedzieć. Jest w każdym razie na edukacji, pozwólmy jej w spokoju ćwiczyć się, urabiać swą wolę.. Da Bóg, że wyzbędzie się tu ślimaczej, żółwiej natury, że okryje się piórami orła, a potem na każde skinienie łaski zrywać się będzie do lotu, opuszczając bez żalu gniazdo wygód i przyjemności.

O dobra, chętna wolo, stań się moim udziałem!

III.

Woli, gdy wydobędzie się z lenistwa, opieszałości, gdy wstanie i pójdzie za pociągiem łaski, za głosem rozumu i sumienia, czy nie grozi już żadne inne niebezpieczeństwo? Czy nie wyłoni się z gęstwiny życia jakiś inny potwór, który ją przestraszy i ubezwładni? Czy już wtedy z nikim i z niczem nie będzie się musiała borykać?

Niestety! Od najgłębszych przepaści grzechu do najwyższych szczytów świętości towarzyszą duszy wrogowie. A żadna cząstka jej istoty nie jest tak atakowaną jak wola. O ten skarb najcenniejszy całe piekło bój toczy. Dlatego im dalej idziesz wzwyż, tem bardziej sroży się zły duch, tem czujniejszą musisz być i ty. I łaska Boża wysila się najwięcej nie u podnóża góry lecz wtedy, gdy dusza bliską jest szczytu. Przekonuje się o tem każdy sam na sobie, kto tylko otwarte ma oczy i widzi życie takie, jakiem ono jest.

I cóż to za potwór oczekuje na wolę po zwyciężeniu lenistwa?

Co? Pytasz o to? Czybyś miała go nie znać i ty?

Brak wytrwałości jest tym potworkiem, tym smokiem Apokaliptycznym, co swoim ogonem zmiata większą część postanowień z powierzchni duszy.

Cóż ci z tego, że posłuchasz głosu Bożego i zawrócisz ze złej drogi? Cóż ci z tego, że zwyciężysz lenistwo nie raz, nie dwa, ale sto, i więcej razy? Cóż ci z tego, że przejdziesz pół drogi, że może sięgać będziesz szczytu, gdy wkońcu ustaniesz i wrócisz się? Cóż ci z tego? „Kto wytrwa do końca, ten tylko zbawion będzie".

Tak, przyznaje dusza, że tyle już razy zaczynała, a nie dokończyła. Tyle razy lśnił przed nią upragniony szczyt, aż tu nagle powiał wicher niestałości i zepchnął ją na niziny dawnych błędów i wad. Tyle razy patrzyła na konanie starego człowieka w sobie, a potem w jed-

nej chwili powstał i żył i nanowo mordował i zabijał w niej rodzące się życie Boże.

Ach! Tyle już razy się spowiadała, czyniła postanowienia poprawy, lecz nie przebrzmiało jeszcze echo słów kapłańskich: „Idź i więcej nie grzesz", a ona już zgrzeszyła!

Tyle razy słuchała płomiennych kazań, odprawiała rekolekcje i zdawała się mówić wtedy z Prorokiem: „Na wieki nie będę poruszoną!" A jednak, co się stało za kilka dni, tygodni, czy miesięcy?...

Niestałość ludzkiej woli jest przerażającą. Daje się ona we znaki i tym, co cherubinowe zdają się mieć skrzydła. I oni, wielkoduchy, przez brak wytrwałości obniżają czasem swój lot, a cóż dopiero ci i owi, co nie zatroszczyli się nigdy o wyrobienie swej woli.

A więc wielka to rzecz ujarzmić i wykształcić swoją własną wolę — nauczyć ją: chcieć i nie chcieć, słuchać i zwyciężać się; iść zawsze naprzód i nie ustawać. Większa to rzecz aniżeli podbijąć narody, niż czynić cuda i wypędzać czartów z opętanych. Kto tego dokonać potrafi, ten w krótkim czasie wzniesie się na szczyty świętości. Pan Jezus tylko na wolę patrzy. Gdy ta jest piękna, wspaniałomyślna, nieugięta w swych dobrych zasadach i gdy całkowicie należy do Boga wtedy i dusza jest piękną, jest doskonałą.

Oto lekcja skończona. Dusza odchodzi w życie, aby wyuczyć się tego, co usłyszała. Idzie i w myśli powtarza:

1) Nie sprzeciwiać się rozumowi i sumieniu. Ich głos jest głosem samego Boga. Nie wyłamywać się z pod wszelkiej prawowitej władzy, czyli — kochać się w posłuszeństwie. Ono jedynym ratunkiem dla ślepej i niestałej woli. Św. O. Franciszek chciał zawsze mieć kogoś nad sobą.

2) Nie ociągać się z wykonaniem dobrych posta-

nowień, natchnień łaski, poleceń przełożonych, rodziców, rad i wskazówek spowiednika. Nie poddawać się lenistwu i nie odkładać pracy nad sobą z dnia na dzień, z roku na rok, bo te dni i lata skończą się wkrótce, a na poprawę życia czasu zabraknie.

3) Nie robić przestanków po drodze, nie odpoczywać, bo każdy postój to staczanie się w dół i w gorszą jeszcze przepaść niż ta, z której się wyszło. Choćby pot zmęczenia spływał strumieniami, choćby tęsknota za wygodą i swobodą życia targała sercem i uczuciami, nie zatrzymuj się, nie spoczywaj, nie wracaj! Naprzód i naprzód! Może już tylko dziś, bo może jutro stanie się twoją wiecznością?...

Dusza poszła — zniknęła w kurzawie walk.

*

Puszcza. Dokoła cisza przerywana szumem drzew, śpiewem leśnych ptasząt i rykiem dzikich zwierząt. Cudny mieni się bór, a nad nim sklepienie nieba. Wśród gęstwiny mała stoi chateńka, a w niej Pustelnik. Antoni czy Paweł, Onufry czy Pafnucy — niewiadomo. Dość że Pustelnik.

Przyszedł tu dawno, bardzo dawno! Przygnała go chęć służenia Bogu i pragnienie stania się świętym dla Jego chwały.

Przyszedł i trwał.

A tęsknica paliła mu ciało, gryzła duszę.

Sam on tu jeden, żadnej nigdzie postaci człowieczej, żadnego ludzkiego słowa. Począł się chwiać, żałować. A pokusa szeptała:

Poco było opuszczać ojca, matkę, progi rodzinne, mienie, miasta i wioski? Poco? Porzuć to życie, krainę zwierząt — wróć!

Posmutniał Pustelnik. Schła na nim skóra nie tyle z głodu ile z tęsknoty.

— Dziś jeszcze zostanę, szeptał pół głosem, a wieczorem, by mię te bory i te zwierzątka nie widziały, odejdę.

Nadszedł wieczór.

— Ej! woła Pustelnik, jeszcze się przenocuję, a rano pójdę, toć bezpieczniej za dnia niż w nocy.

Zaświtał ranek.

— Wieczór odejdę, boć żal mi Boga, żal rozmowy z Nim, żal świętości! Panie! Dziś jeszcze służyć Ci będę, dopiero jutro odejdę.

Mijały sedne dni i wieczory, a Pustelnik oszukiwał sam siebie, że już dziś nocą, że jutro rankiem pożegna puszczę i wróci do świata.

Nie wrócił. Żal mu było Boga, żal świętości.

W zmaganiu się z tęsknicą trwał 50 lat.

Błysło ostatnie zaranie. Z uśmiechem na ustach z ogniem w sercu, duszą nie ciałem odszedł Pustelnik. Nie do świata, ale do Boga. Poszedł odebrać wieniec za długą walkę, za heroiczną wytrwałość. *S. G.*

O świętości i najpewniejszym środku zdobycia jej

„Macie być świętymi, jakom i Ja święty jest". Ler. 11, 45.

Świętym jest ten, który w myślach i czynach jest podobnym Bogu. Bóg jest samą świętością, ponieważ z natury Swojej nienawidzi złego, a pragnie i kocha dobro. Bóg jest nieskończenie świętym — jest źródłem i miarą wszelkiej świętości.

Stworzenie również jest świętem, gdy odwraca się od złego a kocha i ćwiczy się w czynieniu dobrego. W stworzeniu świętość jest ograniczona — nigdy nie potrafi ukochać Boga tak, jak na to zasługuje. Świętość stworzenia podlega zmianom — może zwiększać się

i potęgować, ale również zmniejszać się i zanikać. Świętość stworzenia jest i pozostanie zawsze słabym tylko cieniem Przedwiecznej świętości — jest świętością o tyle, o ile stara się naśladować świętość Bożą.

Najlitościwszy Bóg, chcąc to „wieczną miłością" ukochane stworzenie zbliżyć do siebie, musiał mu powiedzieć: „Bądź świętym, jakom i Ją święty jest".

Ponieważ Ja świętym jestem, musisz i ty zostać świętym — na to cię stworzyłem. Stwarzając cię dla siebie i przeznaczając jako jedyny cel twego istnienia wiekuiste ze Mną zjednoczenie, muszę wymagać, byś był świętym, gdyż nic zmazanego do nieba wejść nie może. Jako Ja świętym i ty świętym być musisz — w przybliżeniu, podług miary i stopnia udzielonej ci łaski.

— O tak Boże świętości, rozumiem to dobrze, że nie zjednoczę się z Tobą po tem życiu, jeżeli nie będę świętym! Jednoczyć się mogą tylko istoty i rzeczy jednakie, więc jeżeli Tyś jest czystością i doskonałością samą, to i ja muszę stać się czystym, doskonałym — muszę zostać świętym.

Cóż więc mam czynić na tej ziemi, aby osiągnąć cel, przez Ciebie mi wskazany?

W nauce, głoszonej mi przez Ewangelję znajdę odpowiedź: Mam starać się o czystość duszy, mam wyniszczać w niej wszystko, co jest świętości przeciwne. Mam się z dnia na dzień pomnażać w cnocie, do tego stopnia, by mi się cnota stała drugą naturą.

Niestety! daruj o Panie — oto ludzka ułomność w drodze mi staje!... Czyż możliwem jest dla tak nędznego jak ja stworzenia, by mogło zostać świętem? —

Byłoby niemożliwem, gdybym liczył tylko na własne siły. Nie dojdę bowiem do świętości sam z siebie — mogę ją osiągnąć jedynie z pomocą łaski Twojej, Przeto Tobie o najczystszy i najświętszy Boże mój, od-

daję się całkowicie! Uświęć mnie i odnów we mnie Swój obraz i podobieństwo, abym się kiedyś stał godnym okazać przed Obliczem Twojem i cieszyć się na wieki obecnością Twoją!

Sądzisz może, że trudną jest rzeczą naśladować świętość Bożą, bo Bóg jako duch niewidzialny nie może nam Swej świętości na zewnątrz okazać.

Czy rzeczywiście nikt jej nie oglądał? Czy świętość Boża nie objawiła się nigdy naszym ludzkim oczom? Czego uczy nas wiara? O czem wspomina św. Jan w swoim pierwszym liście: „cośmy słyszeli, cośmy widzieli oczyma naszemi, cośmy oglądali i czego ręce nasze dotykały o Słowie żywota, co było od początku“...

Czyż nieskończona świętość Boża nie ucieleśniła się widocznie w Jezusie Chrystusie?

Wobec ograniczenia naszego rozumu byłoby trudno dostosować do naszych ludzkich poczynań, pojęcie, jakie powinniśmy mieć o świętości Bożej i prawie niemożliwem naśladować ją, w naszem szarem życiu codziennem. I oto sam Syn Boży przyszedł nam z pomocą. Stał się człowiekiem; zamieszkał między nami, spędził swe życie w pospolitych, zwykłych stosunkach, w jakich każdy z nas odbywa swą ziemską pielgrzymkę. Stał się naszym nauczycielem i równocześnie naszym wzorem. Powiedział wyraźnie: „Ten, który mnie posłał jest prawdziwym, a Jam, co słyszał od Niego, to powiadam na świecie“ (Jan 8, 26) i na innem miejscu: „Czynię sprawy Onego, Który mnie posłał” (Jan 9, 4).

Oblecz się więc w Jezusa Chrystusa, przeniknij Jego duchem, a świętość, do której cię Bóg wzywa, stanie ci się jasną i nietrudną do naśladowania. Słuchaj nauk Chrystusowych, stosuj je praktycznie w życiu codziennem, a na pewno zostaniesz świętym, jako twój Ojciec niebieski świętym jest.

O mój Boże — stworzyłeś mnie i przeznaczyłeś

na to, bym kiedyś uczestnicył w odwiecznym a zawsze nowym hymnie pochwalnym: „Święty, święty, święty, Pan Bóg Zastępów (Iz. 6, 3) a więc starać się będę wszelkiemi siłami o własne uświęcenie, abym z aniołami i wszystkimi wybranymi pieśń uwielbienia Twej świętości mógł wyśpiewywać na wieki.

* * *

Trzeba zawsze się modlić, a nie ustawać“ Łuk. 18, 1.

Najpewniejszym środkiem osiągnięcia świętości to nieustająca modlitwa. Odpowiada to Bożej mądrości i miłości, że nigdy Bóg nie nakazuje nic takiego, czego by człowiek z pomocą Jego łaski, doskonale wypełnić nie mógł.

„Nie opuszczaj, abyś się nie modlił ustawicznie. (Sir. 18, 22).

„Trzeba zawżdy się modlić, a nie ustawać“ (Łuk. 18, 1).

„Bez przestanku się módlcie” (I Tes. 5, 17).

Czy rozumiesz co mówi Jezus? Czy słyszysz, do czego wzywa cię Duch św.? Jest przeto możliwą rzeczą zawsze bez przestanku modlić się. Czem jest bowiem modlitwa? Czy musi być koniecznie związana z pewnemi, zewnętrznemi formami? Czy należy modlić się tylko na pewnych miejscach i w czasie ściśle określonym?

Czy raczej każdorazowe zwrócenie się wierzącej duszy do Boga, każde podniesienie myśli i serca swego do Zbawiciela nie jest już modlitwą?

„Duch-ci jest Bóg, a ci, którzy Go chwalą, powinni Go chwalić w duchu i w prawdzie (Jan 4, 24).

Bóg jest duchem: jest wszędzie, jest wpośród nas i w nas — jest świadkiem każdego, nawet najlżejszego poruszenia naszego serca.

Bóg jest duchem: pomyślałeś o Nim, powstało w twej duszy pragnienie podobania się Mu i oto w odpowiedzi, przyjął Bóg w tej samej chwili twój akt pa-

mięci i miłości, i twej pobożnej prośbie Serce swe otworzył. Nie zawsze ustnie modlić się możesz, tak samo i na rozmyślania nie masz czasu — jednakże każdej chwili możesz podnieść serce swe z miłością do Boga. Jest to stosunkowo rzecz łatwa i dostępna wszystkim, tak ludziom wykształconym i mądrym jak i nieuczonym prostaczkom.

Staraj się utrzymywać zawsze w tem miłosnem ku Bogu usposobieniu — trwaj niewzruszenie w ciągłym akcie ufności względem twego najlitościwszego Pana: czuwaj pilnie nad czystością swego serca, a będziesz się modlił ustawicznie. Tak jak ogień raz rozpalony, nie gaśnie — jeżeli tylko od czasu do czasu dorzucimy mu nowy kawałek palnego materjału, taksamo trwa w duszy ludzkiej zjednoczenie z Bogiem, choćbyśmy właściwą modlitwą rzadziej się do Boga zwracali, bylebyśmy tylko przez grzech nie tracili Jego łaski. Wszelkie sprawy osób żyjących w bojaźni Bożej są ustawiczną modlitwą. Właśnie wszystkie czynności dzienne, jakich wymaga nasze powołanie są doskonałą modlitwą, jeżeli tylko ożywimy je dobrą intencją i spełniamy je w duchu zastosowania się we wszystkiem do najświętszej woli Boga i Jego nad nami zamiarów.

Zresztą nie trudną jest rzeczą zwracać się częściej do Boga ze słowami modlitwy. Czyż koniecznie mamy wyczytywać z książek długie, nużące modlitwy? Czy musimy posługiwać się obcemi myślami, nie zawsze dostosowanemi do potrzeb naszej duszy? Czy gorące uczucia twego serca, wypowiedziane w formie prostej jako akt miłości, czci lub prośby, mniej są Bogu miłe od modlitw, ułożonych przez ludzi obcych, które może bezmyślnie z książki powtarzasz?

O dusze wybrane, które posiadacie świętą umiejętność trafiania ognistemi strzałami miłości w Serce Boże w sposób tak Mu miły i pożądany, nauczcie nas obco-

wać z Nim w szczerości i prostocie: uciekać się do Niego z dziecięcą ufnością — czy to wielbić Go jako Pana i Stwórcę, czy kochać Go, jako Ojca i Dobrodzieja, czy radzić się Go jako Przyjaciela i Mistrza!

Jakżeż chętnie przyjmuje nas Bóg, gdy jak kochające dzieci spieszymy do Niego, dzielić się z Nim każdą radością, każdym bólem lub wynurzamy się przed Nim z tem, co nas nadzieją lub lękiem przejmuje!...

„Rozkoszą moją jest przebywać między synami ludzkimi" mówi Pan, a naszą rozkoszą nie miałoby być pełne ufności obcowanie z Bogiem tak dobrym, tak nas kochającym, a przytem wszechmocnym i potężnym?

O Boże — mój Ojcze, moje najwyższe Dobro — moje wszystko — i ja dziecię Twoje, a zarazem i dziecię Twego wybrańca i miłośnika, serafickiego Franciszka, postanawiam i pragnę gorąco, byś odtąd był moim Doradcą we wszystkich sprawach mego życia, był mi serdecznym Przyjacielem i Powiernikiem wszystkich moich trosk, kłopotów i zamierzeń. Gdy mi niebezpieczeństwo grozić będzie — pójdę czemprędzej do Ciebie po obronę i ratunek — gdy nieszczęściem upadnę, pierwszem mem słowem będzie wołanie do Ciebie o litość i przebaczenie. Gdy świat zwodniczy ciągnąć mnie będzie złudnemi blaski swych marnych przyjemności — z pomocą i łaską Twoją zagłuszę głos jego gorącem wezwaniem: „W Bogu tylko prawdziwa szczęśliwość — On sam wystarczy — Sam Jeden". *X.*

Dobre serduszka

Letni był czas,
Siostrzyczki dwie,
Co bardzo, bardzo kochały się,
Na własne pole szły sobie wraz,
Kąkol z pszenicy, wyrywać chciały,
W koszyczku niosły chleb smaczny, biały,
Który im mama na drogę dała,
A grubo masłem posmarowała.

I szły tak sobie z sierpem na ręce,
A ich dziewczęce,
Usta szeptały,
Różaniec, który w palcach trzymały.

Szli także szosą przeróżni ludzie,
Jedni do domu po dziennym trudzie,
Inni przechadzką,
Strojni jak cacko.
Szedł też zdaleka,
Smutny, obdarty żebrak kaleka,

Zadrżało serce starszej Zosience.
Rozwiera koszyk trzymany w ręce,
Słuchaj — powiada — do młodszej Frani:
Mama mię chyba zato nie zgani,
Co teraz zrobię?
Oto połowę chleba weź sobie,
A ja swe kromki oddam dziadkowi.

Frania spojrzała,
Czyż ona trwadsze serce by miała?
— Wszystek chleb dajmy dziś żebrakowi,
— A czy nie będziesz płakać na polu,
Że nie masz siły plewić kąkolu?
— O nie, nie będę!
— A czy nie powiesz, o tem nikomu,
Gdy powrócimy wieczór do domu?
— Nie! ani słowa!

Nadszedł kaleka,
Zmęczony, słaby, bo szedł zdaleka,
Zosia nieśmiała,
Swoje kromeczki pierwsza podała,
Za nią i Frania.
Dziadek aż tyle przyjąć się wzbrania.
— Niech Bóg zapłaci! woła zdumiony,
Ale dziewczątka już nie słyszały,
Skręciły w pole, znikły wśród zboża,
Serca zalała im radość Boża.

S. S.

Gawędy O. Kapistrana

Rozmowa na czasie.

Raz młodego kolega pytał tercjarz stary:
— Bardzo pana przepraszam, jakiej pan jest wiary?

Kolega:

Jakto jakiej?! Katolik jestem z krwi i kości.

Tercjarz:

Naprawdę?... Mam w tym względzie wielkie wątpliwości.
I, proszę mi wybaczyć, czasem mi się zdaje,
Że pan jest innowiercą i tylko udaje...

Kolega:

Co takiego?! Na Boga, tego już za wiele!
Cóż to, czy się nie modlę, nie bywam w kościele?...
I skądże to pan doszedł do takiego wniosku?

Tercjarz:

A widzę, jak gazety pan kupuje w kiosku:
Nigdy katolickiego nie żąda dziennika,
Lecz bierze, co sprzedawca do ręki mu wtyka,
Przeciwne Kościołowi piśmidła rozliczne,
Żydowskie, czy masońskie, czy socjalistyczne.
A przecież ten, kto wiarę swą wyznaje szczerze,
Nie będzie czytał codzień bluźnierstw przeciw wierze,
Nie będzie wrogów Boga swym groszem bogacił...
Kto tak czyni, ten wiarę już stracił — lub straci.

Kolega:

Oj! jak też mnie pan zaraz surowo osądził.
No przyznaję, przyznaję, żem tutaj pobłądził.
Ano bywa to czasem: człek stary, a głupi,
Co mu kładą do ręki, to bezmyślnie kupi.
Ciekawi go, co bają różne Srulki, Icki,

Zamiast sobie przeczytać dziennik katolicki,
Ale zaraz od jutra w tym względzie się zmienię,
Bo przecież katolickie mam jeszcze sumienie.

Tercjarz:

Otóż to! Sedno sprawy w tem właśnie spoczywa,
Że nam na katolickiem wyrobieniu zbywa.
Pan pozwoli, że jeszcze jedną rzecz poruszę:
Czy pan serjo się troszczy o swych dzieci duszę?

Kolega:

Pewnie!... To jest... I owszem... Czasu mam niewiele,
Lecz pilnuję, by na Mszę chodziły w niedziele,
Mówiły codzień pacierz... no a resztę — żona,
Bo jest w tych pobożnościach więcej nauczona.
Owszem, owszem, mnie bardzo to na sercu leży,
By z mych dzieci wyrośli katolicy szczerzy.

Tercjarz:

No, nie wiem, czy to, co pan dla ich duszy robi,
Już ich na katolików szczerych przysposobi.

Kolega:

Zresztą nad duszą dziecka pracuje i szkoła.

Tercjarz:

Oh! nie! szkoła niezawsze uczynić to zdoła,
Zwłaszcza gdy dom rodzinny daje „mniej niż mało"
Pomnę, co w naszej szkole niedawno się działo,
Gdy dwie nauczycielki, zdaje się, żydówki
Sączyły jad w młodziutkie serduszka i główki;
Szerząc importowane z Moskwy ideały,
Wyplenić wiarę w Boga z dusz dziecięcych chciały.
Rodzice katoliccy, o dzieci swe dbali,
Publicznie przeciw temu zaprotestowali.
Otóż tam, gdzie ten protest został uchwalony,

Nie było ani pana, ani pańskiej żony.

Kolega:

Ej! w tem chyba tak bardzo nie byliśmy winni,
Bo choć my nie poszliśmy, ale poszli inni...
Bez jednego żołnierza obejdzie się wojna.
Ja jestem człowiek zgodny, żona też spokojna...

Tercjarz:

No, jeżeli tak powie jeden, drugi, trzeci
To będą nam swobodnie deprawować dzieci,
Bo my miast przeciwdziałać, walczyć i pracować,
Umiemy tylko stękać — no i krytykować.

— — — — — — — — — — — — —

Przypadkiem Wasz Kapistran słyszał tę rozmowę
I z niemałym frasunkiem poskrobał się w głowę,
Bo takich, jak ów młody „bladych" katolików
Pono i wśród tercjarstwa znajdzie się bez liku.

Sen — talizman.

Ukryty w najwonniejszym zakątku kwiatowego kielicha serca, osłonięty kolorowemi szkiełkami dzieciństwa, spoczywa talizman mój — sen... Idzie ze mną przez życie, taki dawny i coraz bardziej odległy — jak dzieciństwo, a taki żywy i jasny jak poranek majowy — a wyrazisty jakby nocy dzisiejszej zrodzony, talizman... mój sen. Lata wy moje dziecięce, przebogaty ogrodzie najpiękniejszych i przecudnie wonnych kwiatów — wspomnień, pielęgnowany rosą pamięci i pokarmem serca... Odpływacie odemnie coraz dalej i dalej — zostawiając mnie wśród życia — z talizmanem moim — snem.

Sen wytworzony w dziecinnej główce w noc, w którą za oknem szeleściły spadające już liście, sen po dniu, pośród którego wszystko było poraz ostatni. Łagodny uśmiech słońca wstającego poranku, radosne chichoty rozkrzyczanego ptactwa w lesie, szalone skoki cieląt na ugorach nie dający się opisać zapach ziemi

zoranych skib, od którego mąci się w nieprzytomnej od wrażeń głowie dziecięcej i te nitki snujące się nad łąkami, nitki obmotujące sobą serce i kołyszące je ponad ziemią.

Upojone oczy i słuch małej dziewczynki wchłaniają w siebie chciwie aż do bólu, barwę każdego kamyka, gałązki, dźwięk jakiś znajomy, najmniejszy szczegół z tego pośród czego żyła, co było jej radością i smutkiem, miłością i życiem. Ach, jeszcze zapamiętać barwę i kształt baranka pasącego się na błękitnej trawie nieba, kwiatek wychylający się z brzegu, bzykanie konika pośród traw. — Bo to już wszystko poraz ostatni. Bo już jutro musi stąd odejść. Ale nie myśleć o tem teraz. Tyle rzeczy ma jeszcze pożegnać! I już nogi dopadają lasu, a oczy rozkochane w drzewach i krzaku, w wiewiórce i gwizdaniu ptaka, całują każdy listek i źdźbło trawy, a ramiona duszy obejmują las, przyciskając do piersi z całej mocy kochającego serca. I przemęczona już wrażeniami głowa, wciska się w pościółkę igieł i liści, a z gardła wydobywa się śmiech nabrzmiały szczęśliwością i umiłowaniem, radością i smutkiem, śmiech duszy dziecięcej, pełny wszystkich uczuć jakiemi tylko przesycona jest teraz cała istota małej dziewczynki, która żegna się z tem co kochała, co było częścią jej samej, a co opuścić musi i iść daleko... w to coś, które stoi przed nią jak ogromny pytający znak, haftowany cudnemi kolorami tęczy, to znów majaczący ciemnemi smugami. Co on mówi, co on kryje, ten tajemniczy, wabiący znak? I czarne oczy dziewczynki zapatrzyły się w niego, — i czarne oczy dziecka mienią się zadumą i ciekawością, żalem i pytaniem... Małemi ramionkami wstrząsa szloch, skarga plącze się między wargami, smutek gładzi po włosach. I znów jawi się ten przedziwny znak i ciekawość, że oto otwiera się przed nią świat i życie, o którem tyle od starszych słyszała, tyle rzeczy dziwnych i smutnych. Co to jest to życie, do którego ona jutro wejdzie, to życie mieszczące się poza jej domem, to życie daleko gdzieś wśród obcych, w którem nie będzie widziała wciąż przy sobie smutnych, nadewszystko umiłowanych oczu matki.

I to pytanie rozrastające się w duszy i ciekawość pomieszana z żalem, każe jej się poderwać na nogi

i biec ku domowi. Piąstki zaciskają się przy oczach, byle już nie patrzeć i nie wracać, a zatrzymać w duszy i w pamięci, to co wyryło się przedtem i iść w to jutro nieznane, tajemnicze a kuszące...

— Jak to można moja mała. Ostatnie chwile w domu a ona gdzieś się błąka! — słyszy wyrzut z roześmianych ust ojca.

Mała dziewczynka wybuchła śmiechem, całą kaskadą przepojonego radością i smutkiem śmiechu. Napotyka ciemne i smutne, najwięcej na świecie kochane oczy i wtula się drobnem ciałkiem w ciało matczyne, obcałowuje suknie i tę tak bardzo drogą głowę; ramiona dziecka i matki splatają się razem, w pocałunkach i łzach plątają się jakieś słowa o rozłące, o trwodze serca matczynego, o okrucieństwie losu i trudzie życia, o miłości matki, zapomnieniu i tęsknocie... Słowa rozgniatane pocałunkami, niezrozumiałe wtedy, dziwne i trwożliwe, słowa gubiące się w łzach i matczynej miłości owijającej czarną, małą główkę córki swemi złocistemi nićmi...

Ale serce i umysł dziecka jednem wrażeniem nie umie się przepełnić. I wnet ze smutkiem i łzami miesza się radość i śmiech, pewna drobina satysfakcji ze swojej ważności wśród wszystkich. Serce i słuch wchłania w siebie te różne słowa, spojrzenia, odcienie uczuć jakiemi darzą ją ci wszyscy, z którymi przebywa ostatni już wieczór, wchłania uwagi i troszczenia się i to wszystko wokoło niej — i to wszystko o niej — i tylko ona dzisiaj najważniejsza. Umysł i słuch czujne i nastawione na wszystkich i na siebie samą, usta odpowiadają komu innemu a oczy gubią się w tamtych ogromnych, smutnych źrenicach, to znów zaciskają powieki, by ich nie spotkać, nie czytać w nich całego ogromu tego, co boli. Och, bo co tu skrywać! Rozsadza serce i duszę żal, ale przedewszystkiem ciekawość i żądza poznania jutra i tego nowego co przyjść ma. Ku czemu rwie się całą żywotnością młodej natury, nie wiedząca, że tę żywotność przygasić może życie, nieznane, a czarujące z oddali...

Z czyichś ust starych słyszy dziwaczne i niezrozumiałe słowa, że gdy raz się dom opuszcza, już się „na zawsze“ nie wraca do niego; — słowa zrozumiałe

dopiero po latach, a dla duszy dziecka obce, całą głębokością znaczenia i smutku... Słyszy wokoło słowa pełne westchnień i nadziei, to znów zwykłe codzienne o polu i pogodzie, o przyszłych wakacjach — ale coś w sercu płacze cichutko i kuli się żałośnie, że to już nie to co teraz, już nie to jasne roześmiane, rozdokazywane „dzisiaj"... i te oczy czarne wpatrzone w nią, to mówią. Może same o tem nie wiedzą, ale mówią...

A potem zmęczona główka przyciska się do zimnej bieli poduszki, rozdrgane serce tysiącem uczuć uspakaja się powoli, powieki zamykają się pod ciepłym pocałunkiem drogich warg i cała istota zapada się z westchnieniem gdzieś w otchłań, w nicość... Jakieś wędrowanie po ciemnej krainie, w koliskach i wirowaniach, aż oto mgła przedziera się i mała dziewczynka z ciemności i spod ciężaru, który ją przygniata wychodzi na łąkę, czy polankę rozdzwonioną rozhoworem ptasich swarów i szumów drzew, usłaną promieniami słońca, nakrytą najpiękniejszym błękitem nieba. Ale jej smutno i tak ogromnie ciężko! Smutniej niż wtedy gdy zasypiała. Wzrok zatrwożony napotyka gromadkę dzieci, bawiących się wokoło pani jakiejś przecudnej w złotobiałe szaty odzianej, a uśmiechającej się z taką ogromną dobrocią i miłością jakiej pamięć małej dziewczynki nie zna i serce ogarnąć nie może. Oczy rozszerzone zachwytem wpatrują się w postać spoczywającą na pniu, a ręce zaciskają się na piersi, powstrzymując uderzenia rozbujałego serca. Toż to Matka Boża z ołtarza w kościele! Nie, stokroć piękniejsza, stokroć bliższa i stokroć więcej miłowana! I nagle oczy Jasnej Pani podnoszą się na nią z uśmiechem, oczy cudniejsze od oczu tamtej matki, oczy piękniejsze od błękitu nieba, oczy, które dusza małej dziewczynki umiłowała odtąd na całe życie i wieczność! Ramiona Jej wyciągają się i wargi wypowiadają:

— Czekałam na ciebie, chodź! — I przyciska do serca głowę dziewczynki, która z rozsadzającą piersi szczęśliwością przypadła do niej, z westchnieniem ulgi i radości wydobywającem się z całego jestestwa dziecka. Tuli się do Niej, nazywając ją najpieszczotliwszemi odmianami imiona matki, nie może jeszcze zrozumieć i uwierzyć, że to Ona sama obejmuje ją ramionami

i szepce słodkiemi wargami.

— Ja chcę być twoją matką, słyszyzs?

— O tak, tak! Bądź zawsze ze mną, zawsze! Kochaj mnie Matko! Matuś moja!...

Serce małej dziewczynki czuje taki wielki spokój, szczęście i ciszę, że przymyka oczy z radosnym śmiechem, twarzą przy twarzy słucha słów, które jej Tamta mówi, jak wielką, świętą tajemnicę.

Zawsze będę z tobą, wiesz? Pójdziemy już razem wciąż, naprzód przed siebie, jedna obok drugiej. Ja cię owinę moim płaszczem i pójdziemy. A ty nie odejdziesz odemnie. Prawda?

— Och nie, nie! – ramiona dziewczynki zaciskają się mocniej dokoła Jej szyji. A usta szepczą przy ustach: — Kocham Cię bardzo! Wiesz? Więcej niż wszystkich A ty też mnie kochaj! Ale tak, bardzo bardzo!

Skinienie rzęs uśmiechniętych oczu i palce gładzą ciemne włosy dziewczynki. — Dobrze, przecież jestem twoją matką!

— Moją, moją mateczką! — westchnienie całą miłość duszy zawierające.

— Chodźmy! — I z rękoma splecionemi razem, z głową opartą na Jej piersi, osłoniętą płaszczem jej złoto-błękitnym szła mała dziewczynka w ciemny gąszcz lasu. Z roześmianej jasnością polanki, w ciemną, ponurą gąszcz lasu. Oczy jej przykryły się rzęsami trwożliwie, główka przycisnęła się silniej do szat Matki.

Łagodny, upominający, a mocny głos:

— Nie bój się! Idę z tobą!

I oczy dziecka patrzą już w ciemń baru śmiało i z radością, że tam też razem z nią wpatruje się Ona; słucha z odwagą złowrogiego szumu, bo Ona słyszy go także i owija małą dziewczynkę swoim płaszczem złotobłękitnym... I idą dalej...

— Mgła się rozsuwa, mgła senna, przez którą przedzierają się iskierki świadomości. Powieki jeszcze trzepoczą z niedowierzaniem. Zaciskają się, aby zatrzymać uciekający obraz, a usta wyszeptują: — Bądź ze mną zawsze! Zawsze! Główka dziecka podnosi się i ogromny żal rozdziera serce. — Niema jej już, niema! O Boże! Wróć jeszcze!

— Cicho córuchno! — pochyla się nad dziewczyn-

ką głowa z smutnemi oczyma. — Kogo niema?

— Odeszła! Mój Boże! — rozżalone serce nie może darować, że jakaś chwila wielka szczęśliwa, święta przestała już być. —

Twarzyczka przytula się do gładzącej ją ręki i łka do niej słowa ze snu, który rozpłynął się, słowa o Tej, która przyrzekła być jej matką. Czarne, smutne oczy wznoszą się ku obrazowi nad łóżkiem, ze łzami i podzięką za chwilę szczęścia dla dziecka.

I uspakaja się dziewczynka pod dźwiękami pełnych ufności i pocieszenia słów, które dolatują ją z coraz większej dali...

A potem rano pośpiech, pożegnanie i odjazd. Serce i pamięć przepełnione snem z nocy. I kiedy matczyne ręce obejmują małą dziewczynkę poraz ostatni na długi szereg dni, usta do ucha kochanej głowy zwierzają wielką, radosną wieść.

— Wiesz, powiedziała, że nigdy mnie nie opuści, że zawsze będzie przy mnie!

— Jak to dobrze dziecino, jak to dobrze!

Pożegnanie, uściski, uśmiechy rozdawane wokoło — i dziewczynka unoszona przez konie oddala się coraz bardziej od ścian ojcowskiego domu, uwożąc wspomnienia prawdziwego dzieciństwa, niezapomniane dźwięki swego imienia, wypowiedziane w owej godzinie z samego dna serca matczynego — i zapamiętany na całe życie sen nocy ostatniej spokojnego dzieciństwa, sen żywy i jasny, towarzyszący potem wciąż dziewczynce przez życie; sen talizman wymodlony może kochającem sercem matki ze smutnemi oczyma.

Sen-talizman ukryty na sercu duszy, każący iść w życie krokiem pewnym, dziewczynce, która już daleko odeszła od nocy z swego dzieciństwa, która już lat wiele idzie przed siebie wśród ciemni wołającego ją dawniej Życia...

A kiedy oczy dziewczynki przymykają się z trwogi i znużenia, kiedy krok staje się chwiejnym i zmęczonym, dawna mała dziewczynka spogląda na talizman oddalonego przez życie dzieciństwa i umocniona jego blaskiem i żywością idzie mocno a ufnie... I bliziutko przy uchu swej duszy słyszy szept: — Idę z tobą!

Najcudniejszy i najwięcej umiłowany głos snu — talizman.

M. Gal.

Kronika.

Sprawozdanie Kongr. Męskiej III Zakonu św. O. Franciszka przy kościele OO. Franciszkanów w Poznaniu za rok 1935.

Dorocznym zwyczajem dajemy skromne sprawozdanie z działalności naszej Kongregacji.

Na początku roku sprawozdawczego liczyła Kongregacja nasza 107 braci. W ciągu roku przyprowadziło się 5, do nowicjatu przyjęto 5, zmarło 4, wyprowadziło się 2. Stan na 31-go grudnia 1935 wynosi 111 braci. W porównaniu z rokiem 1934 powiększyła się liczba braci o 4.

Jak poprzednich lat tak i w roku ubiegłym odbyły się uroczyste przyjęcia i to: w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego do nowicjatu, a w święto św. św. Apostołów Piotra i Pawła do profesji. Ceremonje te odbywają się zawsze bardzo uroczyście. Pocieszającem jest, że do III. Zakonu zgłaszają się przeważnie młodsze osoby.

Prócz nabożeństw i zebrań wspólnych z siostrami oraz udziałem Czcig. O. Dyrektora, odbywały się zebrania specjalne dla braci z aktualnemi wykładami raz na kwartał.

Zebrania Zarządu odbywały się co miesiąc w drugi wtorek, na których załatwiane były sprawy bieżące.

Lekcje przygotowawcze odbywały się 2 razy w miesiącu pod przewodnictwem br. mistrza prof. Posadzego lub jego zastępcy.

Rekolekcje dla III. Zakonu odbyły się przed uroczystością św. O. Franciszka jako przygotowanie na powyższe święto.

Śladem lat poprzednich wspierała Kongregacja nasza ubogich braci w miarę swych środków jakiemi rozporządzała. Na wsparcia dla najwięcej potrzebujących i chorych wydano zł. 200.

Na szczególną uwagę zasługują wykłady religijne, które zorganizowała Kongregacja nasza w ubiegłym roku. Celem tych wykładów było zaznajomienie szerszego ogółu społeczeństwa z duchem św. O. Franciszka, oraz pozyskanie inteligencji dla III. Zakonu. Prelegentami na powyższych wykładach byli profesorowie Uniwersytetu Poznańskiego a bracia III. Zakonu.

Należy jeszcze wspomnieć o bibljotece naszej, która się pięknie rozwija. Zabiegom br. mistrza należy zawdzięczać jej rozwój, ponieważ i w roku sprawozdawczym staraniem jego powiększyła się o kilkanaście cennych dzieł. Z bibljoteki korzystają bracia z wielkim pożytkiem dla siebie oraz innych braci, wygłaszając starannie opracowane wykłady na podstawie przeczytanych książek.

Kończąc to skromne sprawozdanie, wypada złożyć serdeczne podziękowanie Czcig. Ojcu Dyrektorowi Norbertowi za duchowne kierownictwo, członkom Zarządu oraz wszystkim braciom za chętną i ofiarną współpracę z prośbą, ażeby i w przyszłości wszelkie wysiłki Kongregacji podejmowane dla dobra III Zakonu popierali.

O. Norbert Uljasz
dyrektor.

Ł. Makała
br. sekretarz.



ADRES ZWROTNY:
ADMINISTRACJA „POCHODNI SERAFICKIEJ"
OO. Franciszkanie Kraków, pl. WW. Świętych 5.
Nr. czeku P. K. O. 407.634.

Kalendarzyk na lipiec.

z uwzględnieniem odpustów zupełnych 3-ch Zak. Franciszkańskich (Z. F.) i absolucji generalnej dla członków III Zak. (A. G).

1. ś. *Przenajświętszej Krwi Pana Jezusa.*
2. c. *Nawiedzenie Najśw. M. Panny u św. Elżbiety* (A. G.).
3. p. św. Leona pap.
4. s. śś. Ozeasza i Ageusza pror.
5. **Niedz. V. po Ziel. Święt.**, św. Antoniego Zaccaria w.
6. p. Oktawa śś. Piotra i Pawła app.
7. w. śś. Cyryla i Metodego bb.
8. ś. św. Elżbiety król. wd. III. Z. (Z. F.).
9. c. śś. Mikołaja i Towarzyszy mm. I. Z. (Z. F.).
10. p. śś. Siedmiu Braci mm.
11. s. śś. Weroniki p. II. Z., św. Piusa I pap. m. (Z. F.).
12. **Niedz. VI. po Ziel. Święt.** św. Jana Gwalberta op.
13. p. św. Anakleta pap. m.
14. w. św. Bonawentury b. d. K. I. Z. (Z. F.).
15. ś. Angeliny wd. III. Z., św. Henryka ces. w.
16. c. *Matki Bożej Szkaplerznej,* Kanonizacji św. Franc. Seraf.
17. p. św. Aleksego w.
18. s. św. Szymona z Lipnicy w. I. Z., św. Kamila w., św. Symfor. wd.
19. **Niedz. VII. po Ziel. Święt.**, św. Wincentego a Paulo w.
20. p. *bł. Czesława w.*, św. Hieronima Emiljana w.
21. w. św. Franciszka Solana w. I. Z, św. Praksedy p. (Z. F.).
22. ś. św. Marji Magdaleny pokutn.
23. c. Wigilja św. Jakóba ap., św. Apolinarego b. m., św. Liborj. b.
24. p. *bł. Kunegundy* p. II. Z., św. Wawrzyńca z Brunduzjum w. I. Z. (Z. F.)
25. s. św. Jakóba ap., św. Krzysztofa m.
26. **Niedz. po Ziel. Święt.**, *św. Anny Matki N. M. P.*
27. p. bł. Nowelona w. III. Z., św. Pantaleona m.
28. w. śś. Nazarjusza i Celzego mm., śś. Wiktora pap. m. i Innocentego pap. w.
29. ś. św. Marty p., św. Feliksa II pap. i Tow.
30. c. śś. Abolona i Senena mm
31. p. św. Ignacego Lojoli w.

Za pozwoleniem Władzy Zak. i Diecez. Redaktor O. Czesław Kellar, franciszkanin
Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.